



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

W chwili, gdy numer ten *Bluszczu* dostanie się do rąk waszych, jeden z długo oczekiwanych i zapowiadanych faktów, będzie już tylko wspomnieniem, zapisaniem w kronice Warszawy; mamy na myśli Wystawę Kucharską, przezwaną w ostatnich dniach właściwiej: Wystawę spożywczo-gospodarską, gdyż udział kucharzy wypadł wbrew spodziewaniu mniejszym, niż tego pierwotna firma wymagać mogła.

Na wzór wielkich miast za granicą, które, nie tylko smaczniej od Syreniego Grodu jadają, ale i więcej do jedzenia mają, urządzono tedy po długich zachodach (początek zawsze bywa trudny) na korzyść Towarzystwa Dobroczynności taką wystawę gastronomiczną, w teatrzyku Belle-Vue przy ulicy Chmielnej i w Sobotę otwarto ją uroczysto dla wszystkich smakoszy, mających swym apetytem nakarmić głodnych.

Trzeba przyznać komitetowi, który się urządzeniem tej wystawy zajmował, pod przewodnictwem hr. Walewskiego, a przy czynnej pomocy budowniczego p. Rakiewicza, że zrobił wszystko, co mógł, aby zadaniu swemu podołać; jeżeli mimo to poważniejszego celu i charakteru nie mógł nadać tej wystawie, oprócz okolicznościowej i przygodnej cechy, to na usprawiedliwienie jego powiedzieć trzeba, że mu więcej chodziło o instytucję, dla której szukał większego na tej drodze zasiłku, niżeli o praktyczniejsze i trwalsze rezultaty z owego popisu pp. dystylatorów, browarników, cukierników, restauratorów, kupców i t. p.

Rady, jakie poddawano komitetowi, były niewątpliwie dobre, wskazówki cenne, ale wykonanie ich wymagało i środków i warunków i do-

świadczenia więcej; w przyszłości, kiedy, zachęcone tegorocznym powodzeniem, Towarzystwo Dobroczynności zechce znowu użyć wypróbowanego środka w celu powiększenia swoich funduszy, a na żaden inny pomysł się nie zdoła, druga wystawa spożywczo-gospodarska przyniesie zapewne więcej pożytecznych rezultatów i uwzględni pominięte dziś higieniczne, ekonomiczne i statystyczne strony.

Komitet wznowi może konkurs lorda Grahama z r. 1837 i postawi kucharzom naszym i instytucjom jadłodajnym zadanie zgotowania najtańszego a najzdrowszego i posiłnego obiadu, który w dzisiejszych ciężkich czasach należy do kwestyi bardzo poważnych, a, niestety, nie łatwo rozwiązalnych.

Wystawa w Belle-Vue przyczyniła się do urozmaicenia dość monotonnego nastroju naszego żywota w postnym sezonie; przybyło choć trochę nowego tematu do rozmów i pogadań w towarzystwach i w prassie. Drobiazgi to wszystko, kwestyjki, nie kwestye, któremi się powinna opinia publiczna w dojrzałym społeczeństwie zajmować powinna, ale u nas to.... i rak rybą.

W zeszłym tygodniu urządziły panie opiekunki Towarzystwa św. Wincentego à Paulo wielki raut muzykalno-deklamacyjny w Salach Ratuszowych; rauty tego rodzaju mają już swoją tradycję u nas, zbiera się na nich smietanka wyższego towarzystwa, *le beau monde* Warszawy, aby wysłuchać śpiewu lub gry na fortepianie, wypić z pięknej porcelanowej filiżanki lekko osłodzoną herbatę. przypatrzeć się i pokazać sobie wzajemnie w gustownych toaletach, a potem rozejść się do domów, wmawiając w siebie, że się bardzo przyjemnie wieczór spędziło i bawiło wybornie.

Tymrazem udział pani Romany Popiel-Swięckiej, dawnej a niezastąpionej gwiazdy naszego teatru i sztuki dramatycznej, ożywił programat koncertu w tym zaimprovizowanym salonie.

Oklaskiwano uroczą deklamatorkę i zmuszano do nadprogramatowych dodatków.

O podobnym raucie myśli Towarzystwo Muzyczne, a przepowiadać mu można większy udział publiczności i swobodniejszy nastrój zabawy.

Post do wszelakich umartwień dodaje u nas jeszcze jedno specjalne, które spada na barki ludzi, poświęcających się dobrowolnie służbie filantropijnej. Te komitety odczytowe, koncertowe, teatralne, jałmużnicze, przechodzić muszą istny czyściec, pełen kłopotów, zachodów, krętaniny, trudów i prac syzyfowych.

Kto próbował kiedykolwiek urządzić u nas przedstawienie amatorskie, lub żywe obrazy, układać seryą odczytów, albo wypełniać programat koncertu, ten wie, ile pracy, czasu, kosztów poświęcić trzeba, aby takie zadanie dobrze i z powodzeniem rozwiązać, a cel zamierzony osiągnąć.

Ale do tych zadań znajdują się specjaliści ludzie w szeregach, posiadający, nie tylko wiele dobrych chęci i wytrwałości, ale szczególnego talentu i zamiłowania; dzięki temu przychodzą do skutku owe widowiska z filantropijnym celem, na które gromadzi się publiczność, nie pytając często: komu zawdzięcza wrazenie swoje,—przychodzi do gotowego i—krytykuje.

A niechby sama spróbowała urządzić taki koncert, lub przedstawienie amatorskie: innemi oczyma patrzyłaby dopiero i z innym uznaniem oceniała trud i usiłowania tych organizatorów *pro bono publico*.

Z tego względu szczerze życzymy powodzenia naszym artystom, którzy w przyszłą niedzielę odśpiewają na scenie Teatru Wielkiego szereg pięknych obrazów ze „Starej baśni“ Kraszewskiego, objaśnianych opowiadaniem lirnika wiejskiego. Dochód z owego widowiska ma powiększyć gromadzone fundusze na budowę domu dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, a kiedy obraz naszkicowany został przez innego artystę, co obok

interessu, właściwego całemu przedstawieniu, nada jeszcze cechę zajmującej emulacji talentów i twórczego ich natchnienia.

Niebawem też Dr. Fritsche, gorliwy opiekun letnich kolonii dla chorowitych dzieci ubogich, zaprosi naszą publiczność na cztery widowiska w Teatryku Dobroczynności, które zasilił mają wypróżnioną kasę tej sympatycznej instytucji. W tych dniach właśnie otrzymano pozwolenie na urządzenie trzech takich osad wakacyjnych: w Jadowie, Janowie (gub. warszawskiej i Poraju (gub. piotrkowskiej). Półczwarta tysiąca rubli potrzeba będzie w przybliżeniu na koszt wysłania i utrzymanie przez kilka tygodni biednych, zmierzonych malców. Spodziewać się należy, że ofiarność publiczna w tym roku, równie jak lat poprzednich, pośpieszy z pomocą, a projektowane widowiska przyniosą znaczny na początek zasilek.

Popieraliśmy kiedyś gorąco tę myśl powołania maluczkich do udziału w dobroczynnym dziele i nie wątpimy, iż pomysł ten nie zawiedzie; drobne rączęta zgarzną ofiary dla bliźnich, i będzie im mogli w tym roku, ciężkim dla wszystkich, ulżyć przynajmniej dołę i rozpogodzić trochę życia kilkuset naszym następcom w przyszłości.

Instytucja osad letnich sama przez się stwierdziła swą użyteczność i sama poleciła się opiece obywatelskiego ogółu; do jej utrzymania nadal i poparcia zachęcać więcej nie trzeba.

Jednogodnie wyraziła osadom i ich opiekunowi cała nasza prasa słowo należnego uznania, a ta jednogodność wiele znaczy u nas, gdzie wystarcza, aby ktoś powiedział „biało“ do wywołania przynajmniej trzech głosów „czarno.“

Polemiczny duch jest chyba duchem opiekunów naszego dziennikarstwa; pod jego natchnieniem pisze się sążniste artykuły i cięte urywki.

W zacieklej walce nie szanuje się niczyjej drażliwości, zamiast prawdą kłuć w oczy, kole się ostrem piórem przeciwnika, jak szpikulcem, gdzie się uda.

Najmniejszą kwestyą sprowadza się na grunt osobisty i rozwiązuje spór obelgą, lekceważeniem, namiętą napaścią. Jakies nerwowe rozdrażnienie objawia się u piszących; nie wolno nikomu zrobić uwagi, poprawić błędu, wytknąć złego, nie wolno obstawać przy swoim zdaniu, jeżeli się ono komu drugiemu nie podoba.

O przekonanie drugiej strony, o obronę własnego twierdzenia, nietylko chodzi w polemice dzisiejszej, ile o dosadność wyrażenia: kto komu lepiej dociać potrafi, ten się uważa za zwycięzcę.

Zauważyliśmy w ostatnich czasach taki gorączkowy nastrój w polemice dziennikarskiej, który nieprzyjemnie, a nawet dotkliwie razi czytelników, unikających skandalu zarówno w życiu, jak w druku. Między innymi kwestyami, dolewającymi oliwy do ognia, sprawa rozstrzygnięcia konkursu pomnikowego stała się tym kijem, wetkniętym w mrowisko dziennikarstwa polskiego, sprawa niezaprzeczenie wielkiej wagi, ale dlatego właśnie wymagająca taktu i godności ze strony tych, którzy się jej zbadaniem i rozświeceniem zajmują.

Z ogłoszonych protokołów komitetu konkursowego można spokojnie i bezstronnie wywnioskować, że przyznanie pierwszej nagrody młodemu, niedoświadczonemu jeszcze rzeźbiarzowi, było jakąś anomalią, której logicznie nie potrafiliby sobie nawet sami sędziowie wytłómaczyć, przejrzawszy teraz na trzeźwo swoje własne obrady; projekt p. Dykasa najwięcej spotkał zarzutów w łonie samego areopagu; wytknięto mu najwięcej słabych stron i braków, zalecono tyle poprawek, że to prawie zupełnemu z gruntu przerobieniu pomnika się równa, wyrażono bez ogródek wątpliwość, czy będzie można nawet po poprawieniu pomnik ten wystawić; a mimo to wszystko jednogłośnie przyznano mu pierwszą nagrodę.

Jak sobie tę niekonsekwencję wytłómaczyć?...

W końcu bieżącego miesiąca miał się zebrać w pełnym komplecie komitet pomnikowy i rozstrzygnąć ostatecznie sprawę konkursu; ale zamiejscowi członkowie nie zgodzili się na tak

blizki termin i prawdopodobnie dopiero w Kwietniu, albo w Maju to walne zgromadzenie dojdzie do skutku.

Może to i lepiej, bo do tego czasu namiętności rozbudzone wyrokiem *jury* i niefortuną z tego powodu polemiką—ochłona, zdania się wyklarują, poglądy się wyrobią i dojrzeją.

„Co nagle, to po dyable“—powiada słusznie stare nasze przysłowie.

Tymczasem tylko ilustracje nasze obznajamiają nas z projektami celniejszych rzeźbiarzy, przyjmujących udział w konkursie, a wkrótce podobno znajdziemy sposobność zobaczenia na wystawie części oryginałów, które mają być do Warszawy sprowadzone.

Z tego powodu rozbierano kwestyą: czy dochód z wystawy takiej przeznaczyć na rzecz Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, czy też na korzyść samych wystawców. Naszem zdaniem ten drugi cel wydaje nam się właściwszym. Nasi Pigmolioni i Fidyasze są to po większej części ludzie ubodzy, żyjący tylko z własnej pracy, z dnia na dzień, a projektowanie szkiców pomnikowych zabrało niejednemu dużo drogiego czasu i kosztów, przynosząc w zamian tylko stratę, zawiedzioną nadzieję, a za całą nagrodą moralne zadowolenie. że się stawało w zaszczytnym rzędzie polskich artystów, którzy pragnęli talentem swoim uczcić pamięć największego z naszych poetów.

Dobrzeby było i słusznie, by publiczność zwróciła chociaż część tych poniesionych kosztów i wynagrodziła straconą pracę twórcom projektów konkursowych.—rozumie się, jeżeli będzie można wystawić i oglądać je w Warszawie.

W zesłanym tygodniu, nie wystawiono wprawdzie pomnika, ale urządzono zasłużoną owacy artysty, którego talent i twórczość od lat dwudziestu pięciu zaznaczyły się chlubnie w historii naszego malarstwa. Józef Brandt obchodził w Monachium swój jubileusz, swoje srebrne wesela ze sztuką. Liczni kolledzy i uczniowie słynnego batalisty, twórcy „Odsieczy wiedeńskiej“ i „Powitania stepu“, złożyli mu daninę swego talentu w ozdobnym albumie, w którym d. 18 b. m. ofiarowano artyście zbiór rysunków i akwarelli nadesłanych z Warszawy, Krakowa, Wiednia, Paryża i Monachium, oraz adres polskich akademików.

Poznańskie Towarz. Przyj. Nauk obdarzyło jubilatą dyplomem na honorowego członka.

Zaszczyt ten i odznaczenie należy się artyście, który jest jednym z trzech największych koryfeuszów sztuki naszej, nazywanych, nie bez słuszności, twórcami „Szkoły polskiej“ w malarstwie. Pomimo dwudziestu pięciu lat owocnej pracy na tem polu; jubilat znajduje się obecnie w kwiecie wieku, liczy bowiem wszystkiego 43 lata; urodził się w miasteczku Szczepieszynie w Lubelskim, gdzie ojciec jego był lekarzem.

Początkowo kształcono go na inżyniera, był to bowiem ów czas, gdy zawód technika wydawał się najpraktyczniejszym i najzyskowniejszym ze wszystkich; krótko, niestety, trwała ta ułuda, rzeczywistość przekonała, że w kraju nie rozwiniętym jeszcze dostatecznie pod względem przemysłowym, liczba miejsc, dla najzdolniejszych nawet techników, jest i musi być ograniczoną.

Dobrze przeto zrobił Brandt, iż wysłany na studia matematyczne do szkoły centralnej w Paryżu, porzucił cyrkiel a chwycił się pędzla za głosem talentu i namową pierwszego swego mistrza, Juliusza Kossaka; bo dzisiaj szukałby może zawsze jeszcze korzystnej posady i wegetował przy jakiej kolei żelaznej, kiedy w dziedzinie sztuki pozyskał sobie rozgłos, uznanie, wybitne stanowisko—a i dostatnie utrzymanie.

Powiadają, że pociąg do malarstwa i rysunku miał wrodzony, a przejął go od matki, która w wolnych chwilach, podylletancku wprawdzie, ale z wielkim zamiłowaniem spędzała czas z paletą w ręku.

Pierwsza akwarella Brandta, przedstawiająca sceny z „Przygód imci pana Benedykta Winnickiego“ ukazała się w 1860 r. na wystawie obrazów w Warszawie i od tej pory twórczy talent artysty rozwijał się, dojrzał i potęgował nieu-

stannie; osiedliwszy się w Monachium, gdzie sumienne studia odbywał pod kierunkiem Horschelta i Adama, co rok zjeżdżał na kilka miesięcy do kraju, aby odetchnąć rodzinnem powietrzem, odżywić się wśród swoich i zacerpnąć tematów do całego szeregu dzieł, tak typowo swoich, takim urokiem owianych, że dzisiaj wśród setnicy płócien najmniejszy obrazek Brandta bez trudności zdoła wprawne oko wyróżnić.

Kto widział kiedy jego „Jarmark w Bałcie“, albo „Powitanie stepu“, albo „Powrót z wyprawy wiedeńskiej“, temu z oczu nie zejda owe sceny i postacie sprowadzone zakłębieniem sztuki na płótno, owe Kozaki i Lisowczyki na dzielnych koniach, które w obrazach Brandt'a zawsze zajmują najcelniejsze miejsce, a malowane są z tą nieporównaną siłą, prawdą, naturalnością i spostrzegawczym zmysłem, bez którego jego naśladowcy, niestety, wpadają w niesmaczną manierę i jednoznaczność.

Na cześć takiego artysty, przynoszącego zaszczyt polskiej sztuce, z pełnych piersi należy wznieść okrzyk: „Niech żyje i tworzy jak najdłużej!“

Na zakończenie dzisiejszej pogawędki, winniśmy jeszcze wspomnieć o sympatycznym naszym gościu, który bawi na scenie warszawskiej; jest nim *słeczna* Pospieszylówna, artystka Teatru Narodowego w Pradze. Od pięciu czy sześciu lat zaledwie poświęca się ona zawodowi dramatycznemu, a już zdobyła sobie pierwszorządne stanowisko w czeskiej komedii i dramacie. Jest to aktorka z prawdziwym talentem i inteligencją, obdarzona szczerym temperamentem scenicznym, grywająca rozmaite rodzaje ról, od najwyciszej począwszy aż do silnie dramatycznych, chociaż warunki zewnętrzne i natura talentu, uspcsabiają ją więcej ku temu ostatniemu rodzajowi.

Na naszej scenie mieliśmy sposobność panie Pospieszylównę widzieć w „Rozwiędźmy się“, „Froufrou“ i w „Fauście“, w otoczeniu polskich artystów; z tych trzech prób najlepiej przedstawiła talent artystki kreacja Małgosi, po której krytyka poznała, że ma przed sobą niepospolitą aktorkę, zasługującą na poważne traktowanie.

Panna Pospiszil jest realistką w swej sztuce, znać na niej wpływy szkoły francuskiej, ale w uczuciu jej jest szczerłość, a w grze prawda—w naiwności tylko przebija czasem udanie i robota; zawsze wszelako w dobrym smaku i inteligentna, przyczem też ani rasy jej, ani prezencya nie nadają się już do ról naiwnych.

Zeszej Soboty grono artystów i artystek, literatów i dziennikarzy podejmowało panie Pospieszylównę składkową wieczerzą, przy której sympatyczna Czeszka dała się poznać także, jako dzielna oratorka.

Jakkolwiek od Świąt Wielkanocnych przedziela nas jeszcze Wielki Tydzień, wszelako pozwalamy sobie przedzielić wszystkich życzeniami, korzystając z ostatniej naszej przedświątecznej rozmowy z czytelnikami.

Wesołego *Alleluja* zatem życzymy wszem wobec i każdemu z osobna!...

## JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

—Więc najpierw powinienem pani oznajmić najważniejszą nowinę. Baron Brock zmarł rok temu, a z nim umarł proces wytoczony pani, które-



jemnym w towarzystwie, opryskliwym, nieznosnym.

Postarzał na twarzy, zaniedbał się w ubraniu, pozrywał stosunki i zachował te tylko, które mu nieodzownie były potrzebne do zarabiania na chleb, ale i w tych tak mało sobie zaskarbiał względów, tak był nieugłaskany, dziwaczny, iż gdyby nie nadzwyczajne zdolności i trudność zastąpienia go, niktby pewnie posługiwać się nim nie chciał.

Ale odznaczał się tem, że widział prędzej i jaśniej niż drudzy, że pracował szybko, i że na jego dyskrecją, słowo, uczciwość można było rachować z pewnością.

Miał on swych chlebobawców, którzy się nim nie chlubiąc, nie przyznając do niego, dawali mu prace potajemnie, a potem się z nią, jak z własną, nosili, na co on pogardliwie się uśmiechał.

Nikt nigdy nie wiedział, gdzie go szukać, ani co robił. Ponieważ te najemnicze prace były mu po większej części wstrętliwe, więc gdy jedna z nich przyniosła mu tyle, aby czas jakiś mógł odpoczywać—nie podejmował się nowych—próżnował, jadł, pił, nie oszczędzał wcale, bawił się, tracił, stroił, a gdy się środki wyczerpały, zmuszony, szedł pod jarzmo.

Wiedział on sam, że to było marnowaniem życia i do niczego nie prowadziło—lecz tak nie wierzył w to, ażeby się mógł czegoś dobić, tak nie dbał o swą przyszłość, że z obojętnością cyniczną, włókł się bezmyślnie tą drogą, Miał przytem czasem fantazje, które drogo kosztowały.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z DZIEDZINY SZTUK PIĘKNYCH.

Obraz Brożika w Warszawie. — Nadzwyczajny ścisł i nadzwyczajne uwielbienie w publiczności. — Krytyka u Zenitu i u Nadyru. — Hus i scena na Soborze Konstancyjskim przed spaleniem. Pojęcie i wykonanie; kompozycja, koloryt; pędzel Brożika. — Konkurs stanowczy na pomnik Mickiewicza w Krakowie. — Rozprawy i wyrok sądu konkursowego. — Pomnik p. Dykasa na rysunku. — Wrzawa i ruchawka.

(Dokończenie).

Tak są ustawione postacie w kompozycji Brożika. Wypadek odbywający się w danej chwili, z powodu mdłej charakterystyki, nie łatwo jest określić. Widz przychodzi, przygląda się, bada, przychodzi jeszcze, wraca po raz dziesiąty, wpatruje się w twarz Husa, patrzy w oczy Zygmunta, zatapia się w oblicze biskupa w białym ornatcie, staje znowu wobec dwóch szlachty czeskiej na lewym brzegu obrazu; przerzuca się wreszcie ztamtąd na drugą stronę, w nadziei, że może mu rozwiąże wątpliwość, raz jeszcze zapytana, twarz d'Ailly'ego—i po tej długiej, dziesięć razy powtarzanej wędrówce, znajduje się ostatecznie w tymsamym punkcie, z którego wyszedł: nie wie jaki wypadek, jaką jego chwilę odmalował artysta na obrazie. Jeżeli to przypomnienie glejtu otrzymanego od Zygmunta wywołało rumieniec na obliczu cesarskim, to dlaczego Hus nie zwraca się ku niemu, lecz wyciągnięty mozolnie wzrok trzyma w górę? Jeżeli zaś apelacja do nieba ma być objawem potęgi duchowej, to dlaczego ani w twarzy, ani w postaci reformatora nie widać nawet śladu siły, nawet dźdźbła energii, odpierającej bohatersko przeciwności? Prawda, że Hus był długo w więzieniu (od końca Listopada do końca Lutego u Dominikanów; potem od Zielonych Świątek do końca Czerwca w Gottlieben na jeziorze), prawda, że osłabł, wynędzniał: ale ten, kto umiał wytrwać w mniemaniach i wierzeniach swoich, musiał mieć temsamem i siłę przeciwstawienia się wrogim sobie żywiołom, nie mógł być jeszcze tak osłabionym, aby w chwili bohaterskiego zaprzeczenia plastyka oblicza i postaci wypowiedzieć musiała posłuszeństwo porywom ducha. Patrząc na banalną twarz d'Ailly'ego, zdziwieni pytamy: jest-że to ten *mlot kacerzy, orzeł między doktorami?* A owe-

go Jana z Chlumu, który w pełne koncylium nie wahał się rzucić tego dumnego słowa: „Nie należę ja do rzędu najpotężniejszych w Czechach, ale jeszczebym przez rok cały potrafił bronić Husa przeciwko połączonym siłom obu królów (czeskiego i węgierskiego)!”—któżby go poznał w tym ograniczonym szlachcicu, klepiącym po ramieniu pana na Lesznie i cóż symbolicznego może mieć buzdygan w ręku niedołęznego starca, spuszczonego wzrok w ziemię? Zadaniem jego było jedno: pogrozić sędziom Husa. Zamiast nic nie znaczących figur: milczącego sekretarza i ciekawego biskupa, wstawionych w tyle za Husem, należało raczej ukazać w odpowiednich formach plastycznych lunę pożaru wojen husyckich.

Rzeczywiście na wysokości wypadku stoi tylko jedna postać: owego białego biskupa. Dobrze w niej artysta uosobił zacieklść: modelowanie twarzy staranne, wyraz dobrze utrafiiony, same rysy dobrane wiernie do typu nakazanego przez myśl. Inny jeszcze biskup, Żelazny Jan z Lutomyśla, doskonale jest malowany, ale postać to czysto rodzajowa, całej powadze i grozie wypadku obca: naiwne jego przyglądanie się przedmiotom na stole wystawionym w wielkim poważnym obrazie historycznym, nie zasługiwało na taką charakterystykę i wykończenie. W ogóle w całej kompozycji przeważa charakter rodzajowy nad pomnikowym; najsilniejsze są objawy i postacie niehistoryczne, lub historyczne, ale podrzędne: im poważniejszy motyw myślowy, tem lżejsze, węższe formy plastyczne. Jeden tylko ów biały biskup stanowi wyjątek; wszakże ta jedna postać jest jak Lot w Sodomie: sama ocaleje, ale nie ocali całości. Głównie mamy do zarzucenia Husowi Brożika: niejasność wypadku i niemoc duchową Husa. Obraz jest zamało poważny a zanadto zimny; nie począł się w łonie myśli gorącej, syntetycznej; brak mu życia i charakteru wielkodzięjowego, brak poetycznego natchnienia.

Są jeszcze i błędy wpadające w obręb techniki artystycznej. Tak, naprzykład, nogi Zygmunta, rozstawione za szeroko, tworzą z dwoma brzegami załamującego się ornatu niesmaczny bardzo czworobok, który dodany do sztywności tej postaci, czyni ją do pewnego stopnia hieratyczną, wystruganą z drzewa. Ów biskup w białym ornatcie, doskonały na twarzy, jest tak cienkim w postaci, jakgdyby nie był człowiekiem, ale tyką na której zawieszono sutannę, ornat i infułę. Cienkość ta, fizycznie niemożliwa, szczególnie razi, gdy spojrzymy na kontr-fanatyka z lewej strony zjawiska. Stopa biskupia, wychylająca się zpod ornatu, ma położenie wręcz nie-anatomiczne: noga musiałaby mieć kształt linii łamanej, aby ta stopa w tem miejscu usprawiedliwić się mogła.

Cóż się więc tak podoba w obrazie? Koloryt, pędzel. Istotnie, kolorystą jest Brożik niepospolitym, nie w tem znaczeniu jednak, aby wywoływał wielkie, nadzwyczajne efekta, lub nadawał szczególnie silne barwy. Jego celem jest prawda zewnętrzna, harmonia, wdzięk, jedność malownicza przedstawianego zjawiska. Wszystko musi u niego dobitnie przed wzrok występować, wszystko musi się stapiać w jedną całość, liczyć z prawami perspektywy powietrznej, układać prawidłowo i powabnie dla oka. Biały ornat w obrazie Brożika, jak biały koń w bitwach Wouvermana, nie jest tylko dlatego, aby był białym: spełnia on zadanie *repoussoiru* kolorystycznego. Oświetlenie łagodne, ale wystarczające dla wyrażności zjawiska, pozwala przedstawić rysy same przez się, bez tego światłocienia, który je u tyłu malarzy zatapia i mąci. W całym obrazie pod względem kolorystycznym panuje spokój, miara i prawda. Draperye, malowane szerokim weneckim sposobem, tylko na jednym d'Aillym są ciężkie, kamienne, zresztą dobre, a pewna ich wypłowiałość, widoczna szczególnie na czerwonej szacie pana na Lesznie, trzymającego buzdygan w ręku—nie razi: przeciwnie, przy słabem oświetleniu korzystnie się przedstawia. Oto są wrażenia dodatnie, jakie sprawia obraz Brożika. Jest to przedewszystkiem piękne malowidło, ale mniej już piękny utwór sztuki, słabe dzieło poezji, która przecież panować i rządzić musi we wszystkim,

co zpod pędzla wychodzi, a głębiej, nietylko do wzroku, ale i do duszy, ma przemówić.

Chińczycy podobno budują domy swoje od dachów, a sowy i koty widzą lepiej w ciemności niż w świetle; my oddawna już nasładowujemy Chińczyków, a staramy się dorównać kotom i sowom. Jasności, logiczności, porządku w niczem. Głowa logiczna jest u nas wyjątkiem. Są mężczyźni, ale na karkach męzkich niema głów męzkich. Kiedy się, naprzykład, zebrać ma jakiś konkurs, nie obmyśla się przedewszystkiem dla niego ścisłe granic i warunków jego działania, nie przepisuje się mu wyraźnie co ma zrobić, ale w myśli stawia się już *anticipando* pomniki według doskonanych modeli, które niezawodnie z konkursu wyjdą, wyjść muszą, bo i jakżeby wyjść nie miały, skoro my tak chcemy! Kiedy się rozpoczyna sąd konkursowy, nie wchłania się w siebie programatu, tej ustawy swej, aby przeciwieństwo atrybucye, jakie się posiada: sędziowie wolą błąkać się w ciemności, jak ich mocodawcy znowu woleli płodzić ciemne ogólniki nad jasną szczegółowość. Kiedy się rozpoczyna właściwa już działalność, nie postępuje się od rzeczy znanych i ogólnych do nieznanych i szczególnych, od zasad do faktów, od pobudek do uchwał, nie różniczkuje się pojęć, aby wydzielić z pomiędzy nich panujące, nie stawia się tego, co pierwsze, na pierwszym też miejscu—ale bez ładu i składu z końca robi się początek, z następników poprzedniki, z zasad fakta, z dachów—fundamenta. Idzie po chińsku. Biedny Trentowski ze swoją apologią logiki! Biedny Wiszniewski, który nam tak dobitnie — a jakże już dawno! — charaktery rozumów ludzkich odsłaniał! Przypominamy ciągle las z powoi i bluszczów.

Te smutne uwagi nasuwa nam odczytanie protokołu z dwóch posiedzeń sądu konkursowego, któremu poruczono wybranie najlepszego modelu pomnika dla Mickiewicza, z pomiędzy 31 nadesłanych przez rzeźbiarzy polskich. Wiadomo czytelnikom pisma, które nam gościnnie spały swe otworzyło, jakie koleje przechodził poeta idealnie pośród nas żyjący z powodu tego pomnika swojego. Nie chciano go najpierw postawić w wielkim rynku Krakowa: jedni mówili, że plac za wielki a pomnik za mały, innych zrażał hałas—w Krakowie!—inni chcieli dać poecie własne zacisze, gdzieby sam wyłącznie panował; innych przerażała zbytnia jawność; byli i tacy, którzy z zasady *wewnętrzności* życia uważali pomnik za szkodliwą *zewnątrzność* i głosowali w Izbie prawodawczej własnego umysłu, za sprowadzeniem całego przedsięwzięcia do rozmiarów i miejsc jaknajmniej okazałych. Ostatecznie jednak nacisk opinii rozwiął te wszystkie namysły: odważono się na Rynek, wskazano nawet stronę, w którą poeta ma być zwrócony. Na pierwszym konkursie, przygotowawczym, zwyciężył pan Dykas, zajaśniał Matejko monumentalnym swoim projektem kredkowym. Z drugiego konkursu wyszedł znowu p. Dykas, ale Matejko nie wydał już z siebie światłości, choć się także za innymi, i już po wszystkich, poruszył.

Konkurs, rozpisany na początku r. 1884 przez komitet z 47 ludzi z różnych stron zawezwanych, opiewał, że *jury* ma pierwszą nagrodę przyznać „projektowi *bezwzględnie dobremu*, a zarazem odpowiadającemu warunkom wykonania”. Niewątpliwie zatem chciano, aby projekt był koniecznie dobrym, a nietylko najlepszym z niedobrych; ale nie można mieć pewności, co miała znaczyć owa odpowiedniość praktyczna i jaki miał być stosunek jej do teoretycznej dobroci? Po przedłużeniu terminu o miesiąc, do Lutego r. b., i pogwałceniu obowiązku ogłoszenia nazwisk sędziów najmniejszej na trzy miesiące przed zamknięciem konkursu, wystawiono w Lutym modele na widok publiczny, poddając je pod kartkowe opinie publiczności. Wreszcie d. 1 Marca w Sukiennicach zebrało się *jury* z 2 artystów zagranicznych, Guillaume'a i Zumbuscha, i 9 znawców, lubowników i artystów polskich. Pan Paweł Popiel, wielce poważany starzec, otrzymał łaskę marszałkowską. Nie uchwalono żadnego regulaminu, pogadano jednak o nim; zato odczytano programat konkursu, ale puszczone go mimo uszu. Zaczęło

się wydzielanie modeli niezastługujących nawet na rozprawę: pierwszy *turnus* usunął 12, drugi 9, trzeci 3, czwarty 1, piąty wreszcie 2 modele — i zostały tylko cztery. Wtedy p. Guillaume pierwszy przemówił za projektem p. Dykasa z godłem „Switeż” Nr 6. Później, gdy się zastanowił głębiej, zaczął przemawiać za projektem p. Celińskiego Sławomira, z godłem „Odrodzenie” Nr 11. Później nie był już z żadnego bezwzględnie zadowolonym i rzucił myśl ogłoszenia nowego konkursu; ale gdy pan Pryliński tę myśl jego sformułował, dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych Paryżu sam przeciwko niej głosował. Na Zumbuschu sprawił projekt Nr 6 „nader sympatyczne wrażenie”. Nie dziwnego: p. Dykas jest jego uczniem i przejął się jego stylem. Professor Sokołowski, trzymając się dyrektora Guillaume’a, w samym początku już uznał potrzebę zmian, zwłaszcza w tylnej części, ale pomnik miał dla niego „wielkie przymioty”. Potem, do poprawek już zaleconych dodał professor poprawienie postaci głównej, potem ulepszenie jednej postaci dodatkowej, udoskonalenie drugiej postaci dodatkowej, czyli ostatecznie poprawienie wszystkich trzech. Kiedy pan Popiel gorącym ujęciem się za projektem Nr 11 wzruszył p. Sokołowskiego, professor przyznał temu projektowi, że „plaskorzeźby są wykonane *bardzo ładnie*, że figury poboczne są to *kreacje bardzo piękne*, a idee przez nie wyrażane *bardzo dobrze* poczte, postać główna pojęta w sposób *poważny i imponujący*; głowa ma pewne *podobieństwo*. *Summa summarum*: „strona artystyczna jest lepsza w modelu Nr 6, strona monumentalna przemawia więcej za Nr 11”.

Złą stroną modelu Nr 11 był „pedestał wprost niemożliwy” i „w całej budowie podstawy strony zupełnie złe”: a zatem wady architektoniczne. Zdawałoby się, że po takiej opinii, po tylu „bardzo”, jakimi uczony obsypał Nr 11, po przyznaniu mu wyższej monumentalności, po odważeniu na szali trzeźwej logiki wad obu projektów i potrzebnych w nich zmian, skrzydlate prawdopodobieństwo nagrody przeleci z dzieła p. Dykasa na dzieło p. Celińskiego. Tego przynajmniej spodziewać się było można, że wytrwały, wierny sobie głos p. Popiela i z innego już tonu zacinające głosy pp. Guillaume’a i Sokołowskiego za projektem Nr 11 stanowiąc będą przeszkodę do przyznania pierwszej nagrody Nr 6. Było to *minimum* wymagań, jakie logice obrad słusznie postawił p. Pryliński, opierając się choćby na samym tylko programie konkursu, wyraźnie stanowiącym, że „nagrodzonym może być tylko dzieło bezwzględnie dobre”. Ale wniosek p. Prylińskiego pominięto, odkładając go z niezrozumiałych jakichś powodów, do chwili, w której fakt przyznania pierwszeństwa był już spełnionym. Niezrozumienie warunków konkursu, złe pojęcie własnego zadania, nieszczęśliwe nasze „jakoś to będzie”, odkładające zawsze rozbiór pojęć zasadniczych do jutra, — sprawiły, że wniosek p. Prylińskiego przyszedł pod obrady wtedy dopiero, kiedy pan Dykas chował już swój laur w zanadrze. Daremnie pan Pryliński słowami zdrowego rozsądku przekładał, że „jeżeli niema modelu bezwzględnie dobrego, w takim razie nie można żadnemu przyznać pierwszej nagrody, tylko drugą i trzecią”. Daremnie p. Popiel projektował przedstawienie komitetowi trzech modeli *najlepszych*, dla wybrania jednego z nich znowu *najlepszego* — co zresztą pogwałciłoby warunki konkursu. Niezmordowany professor Sokołowski, który głównie odznaczył się w strategii rozpraw konkursowych, związał myśli swoje w następujący, dość oryginalny, syllogizm: „Mandat pozwalał nagrodzić tylko dzieło bezwzględnie dobre; Nr 6 nie jest bezwzględnie dobrym: a więc trzeba nagrodzić Nr 6, — a dlaczego? Dlatego, że konkurs obecny jest już drugim zrzędu i powinien się zakończyć rezultatem”. Takie przerzucenie się napowrót do Nr 6, było tem dziwniejsze, że professor Sokołowski, głosując za pierwszą nagrodą, nie głosił jednak za poleceniem do wykonania, jakgdyby lękał się następstw swojego kroku. On też pierwszy, już po otwarciu kopert, które prócz dwóch już wiadomych, wykryły jeszcze trzecie nazwisko p. Tadeusza Baracza jako autora Nr 22, zaszczyconego trzecią

nagrodą, zaproponował wyznaczenie komisji, któraby napoczekaniu orzekła, czego braknie dziełu p. Dykasa. Braknie drobiazgów: „Postać główna ma być bardziej ożywiona i *natchniona*. Poeta powinien być przedstawiony w sile wieku. Pióro i zwój papieru mają być usunięte. Dodać należy lirę na odłamie skały. Obadwa basseny powinny być zastąpione motywami architektonicznymi. Woda ma płynąć z krateru, jako strumień złoty. Orzeł powinien być realistycznie wykonany. Dwie postacie dodatkowe tudzież dzieci powinny być bardziej w duchu narodowym nacechowane”. Same drobnostki!

Zbłądził więc sąd krakowski i zdaje nam się, że zbyt skwapliwie wskazał komitetowi czterdziestu siedmiu gotowych kandydatów do komisji mającej prowadzić nadzór nad budową pomnika. Jedno z dwojga: albo *jury* złoży opinią uznającą projekt p. Dykasa za bezwzględnie najlepszy, a wtedy stanie w gorszącej sprzeczności z całym przebiegiem obrad, z samym sobą; albo też nazwie projekt p. Dykasa względnie najlepszym, a wtedy komitet nie będzie miał obowiązku nagrody pierwszej przyznawać i myśleć o wykonaniu. Znajdzie się niewątpliwie inny środek, choćby nie ten, jaki wskazał p. Guillaume, a poparł p. Pryliński. Można będzie nietylko dwóch lub trzech, ale i wszystkich pochwalonych t. j. razem dziewięciu, artystów do nowego konkursu wezwać. Dopiero w ostateczności przyszliby artyści zagraniczni, jako współzawodnicy polskich. Cokolwiek dotychczas postanowiono, wszystko zmienić można; bo nawet ciała prawodawcze zmieniają swoje uchwały, a komitet jest sam swoim panem i prawodawcą; mógł zbłądzić, błędem jego istotnym byłoby dopiero wytrwanie w błędzie. Powszechność myśląca spodziewa się po komitecie jedynej tylko ambicji: zrobienia jaknajlepiej, abyśmy wszyscy nie potrzebowali wstydzidź się zniewagi wyrażonej największemu naszemu poecie.

Projekt p. Dykasa jest stanowczo niemożliwy, jak „niemożliwym” jest piedestał projektu p. Celińskiego. Przynajmniej poetom wymagać wolno aby pomniki, które im wznosi potomność, miały w sobie poezję: projekt p. Dykasa nie ma jej ani iskiereki. Jest poprawny, czysty, ale zimny i płytki. Nic tam nie porywało twórcy i nic też nie porywa widza. Miernota najzupełniejsza, ale porządna i tym porządkiem właśnie jedyną sobie umysły pedantyczne. Zalecone poprawki nie dadzą projektowi tego, czego w nim niema, i potrzebaby utworzyć nowe dzieło, aby istniejące już poprawić tak, jak tego chciała owa komisja na poczekaniu. Gdyby nawet dziecku dano do porównania zalety i wady obu dzieł (Nr. 6 i 11), nie wahałoby się naniwidziane, samą tylko siłą rozsądku orzec, że więcej jest dobrego, a mniej złego w projekcie z godłem „Odrodzenie”. Umysł zaś dojrzały wobec wątpliwości postąpiłby tak jak radził sądowi p. Pryliński. Dlaczego jednak sąd nie usłuchał tej rady?

Rumienić się potrzeba za to zgromadzenie biegłych w sztuce, któremu aż cudzoziemiec (Guillaume) mówić musiał, czem był Mickiewicz, gdy wspomnieli swoich jeden tylko p. Paweł Popiel zdobył się na gorętsze słowo, aby obronił poetę od pomnika p. Dykasa. Zdawałoby się, niemal, że są w życiu takie okoliczności i zadania, w których uczoność, jak otyłość, więcej przeszkadza niż pomaga. W tej lodowatej postawie, wtem napojeniu się octem wiedzy i umiejętności dla ściśnięcia serc, czuło było *szkołę*, tę samą *szkołę*, która objawiła tak dobitnie dążności swoje w publicystyce i dziejopisarstwie, a nad poziomy inteligencji narodowej wzbija się z niedostępną pychą własnej dostojności i pogardą dla wszelkich tematów uczuciowych. Mickiewiczowskie „Miej serce i patrz w serce” — nic dla niej nie znaczy: przedewszystkiem doktryna! W szkole tej panuje pewien klasycyzm porządku i czystości; co porządne i czyste, wystrugane i wylizane, zawsze jest lepszem od tego, co śmiałe i bujne, ale szorstkie i niewykończone. Dlatego przyznano nagrodę p. Dykasowi, że projekt jego, jak się na rysunku przedstawia, jest najpoprawniej wykonanym. Ale poprawność to jeszcze nie poezja i nie sztuka.

Wszystko to wszakże nie upoważniało do wrzawy, jaka się podniosła wprzód, zanim jeszcze wyrok zapadł; nie nie usprawiedliwia ruchawki, jaką obrażeni rzeźbiarze i redaktorowie warszawscy i krakowscy odpowiedzieli na niesprawiedliwość wyroku; nie nie zdoła oczyścić z zarzutu tych, którzy, nie przeświadczywszy się nawet o wiarygodności podawanego protokołu, opierali na nim swoje krytyki, a uważając *jury* za wroga i nie przebierając w środkach, szarpali osobistości niegodnymi domysłami i posądzeniami. Jest to zawsze owa nieszczęsna nasza choroba, że na karkach mężkich nie mamy głów mężkich, a świat mierzymy łokciem własnego interesu.

Prawdziwie już anarchicznym, karygodnym, wstrętnym, było żądanie zwrotu złożonych funduszów. A to jakim prawem, z jakiego, ludzkiego, czy boskiego, porządku? Czasopismo każde było tylko pośrednikiem, woźnym, bryftregerem, odbierającym od jednego a dającym drugiemu. Kto tu ma prawo żądać zwrotu, i czy je ma ktośkolwiek? Czy nawet ci sami, którzy dawali, ta bezimienna publiczność, może dziś przyjsć i buńczucznie zawołać: „Oddajcie mi moje pieniądze?” „Nie mamy twoich pieniędzy — byłaby jedyna odpowiedź — Mamy tylko pieniądze Mickiewicza, które mu dobrze zasłużona sława jego uzbierała na pomnik. Jego to własność święta, nie twoja. Idź, zkąd przyszedł.”

Można było wyłożyć komitetowi niepodobienstwo wykonania pomnika według projektu p. Dykasa, jak to w tem miejscu uczyniono; można było postawić komitet w konieczności ogłoszenia nowego konkursu; można było wreszcie poruszać niebo i ziemię — tylko nie poruszać prawdy z jej podstaw, i nie wszczynać anarchii.

## Korrespondencja zagraniczna.

Wiedeń w Marcu 1885 r.

Rozmyślenia pokarnawałowe. — Wiedeń uciśniony. — Ogólny wir. — Brak typowości. — Na lodzie. — W Afryce. — W piekle. Karnety. — Kotyliony. — Próby „towarzystwa” — Szopka. — Kongres fryzjerów.

(?) „Niema większej boleści nad wspomnianie błogich czasów w nieszczęściu.” Post nie jest nieszczęściem: przeciwnie, podobno wszędzie wyzwoleniem; karnawał zaś nie jest czasem błogim, ale drogim: więc można a nawet wypada w poście porozmyślać nieco jeszcze o karnawale. Rozmyślanie to nie może być gorączkową kroniką balow: idzie w niem o sens moralny i o rodzajowy obrazek. Wiedeń jest w niewoli, w ucisku; wyszła nawet osobna książka mająca za tytuł ten krzyk boleści. Jest źle, bardzo źle, a wszystkiemu winni są rozmaici Słowianie, których rząd proteguje, Niemcy zaś są przesładowani. Tak jest, można to czytać drukowane codziennie, można słyszeć w klubach i w parlamencie, i tylko dziwna rzecz, że Bismark na to jest głuchy, nie wierzy skargom. Przesładowanie to i ucisk Niemców sroży się straszliwie w Czechach, w Styrii, w Karyntyi, na Szlązku, ale najboleśniej spada na stolicę, na Wiedeń, który płacze, osowiał i żalobę nosi. Jakżeż się odbywa ta tragedia wiedeńska w takt laseczki Straussa? Oto codziennie balów wielkich kilka, maskarad kilka, zabaw proszonych w salach najętych tuziny, a kraenzchen, (niby pikników) setki. Szał niepomamowany ogarnia wszystkie warstwy ludności; ani dla czasu, ani dla kieszeni niema żadnej miary. Cały temperament ludności pociąga ją tylko do zabaw, a co do rodzaju zabaw niema wcale żadnej wybredności. Natomiast jest tu jedna szczególność: karnawał wiedeński niema swojego i właściwego charakteru. Karnawał rzymski, wenecki, nicejski, mają swoje formy i normy. Tutaj, przeciwnie, jak cały układ życia, nie ma żadnych stałych i powszechnych zwyczajów, tak i karnawał jest luźnym rozrzucaniem się; żądza zabaw obja-



było aż do wieczora. Palił wciąż i jak lew w klatce przemierzał pomost okrętu w milczeniu.

Wieczorne cienia uspokoiły go, patrzył na morze i zamysłony przystanął, potem sam się zbliżył do kapitana okrętu, który rozmawiał z Reinachem i tak się zaczęła znajomość: płynęli ze sobą dni trzy, i francuzki podróżnik dostrzegł, że Gordon miał w sercu wielki żal, gorzki smutek, ciężkie uczucie przerwane w połowie dzieła, do którego przywiązał się duszą całą, które się stało celem, ideą jego życia. Raz zacząwszy, opowiadał, opowiadał bezustanku swoje przeżycia, walki, szamotanie się z trudnościami, których węzeł nie leżał ani w klimacie, ani w innych okolicznościach miejscowych, ale w urzędniactwie egipskich, w egipskich officerach. W przeciągu jednego miesiąca (w 1878 r.), musiał odesłać do Egiptu trzech generałów dywizji, generała brygady, czterech pułkowników. Mówił o tem wszystkim z wielkiem wzruszeniem; z namyślnym zapałem malował walki swoje z handlarzami niewolników, z ogromnym żalem, z niewymownym smutkiem wspominał o swojej owczarni sudańskiej. Noce całe przechodziły im na tych rozmowach, a raczej na słuchaniu przez Reinacha tego, co Gordon wyrzucał sobie z piersi zranionej. Tworzył rozmaite plany polityczne, dzielił między państwa Europy posiadłości Turcyi. Egipt oddawał Anglii, Syryą i Palestynę Francyi, Konstantynopol Rossyi, czyniąc z niej państwo Wschodnie, i Reinach pisze, że wyniósł niezapomniane wrażenie tej ostatniej nocy właśnie, gdy rozżalony, rozexaltowany człowiek, snuł tak olbrzymie marzenia, a po nad ich głowami świeciły gwiazdy, brzegi Sycylii ginęły w mgłę i tylko wulkan liparyjski czerwono rozświecał morze.

Gordon był pełen przeczuć posępnych, przeszłość malowała mu się czarno: — „Wiem że skończę w jakiej Cayennie. Proś wtedy Gambetty, aby mnie dostał złamtańd“, rzekł tej nocy Reinachowi, zartując gorzko, a on, notując sobie w pamięci te słowa i pisząc je potem, nie przeczuwał, że to było jasnowidzenie. Gordon chiński, Gordon basza skończył w okrutnej Cayennie, lecz nie było żadnego wielkiego człowieka, któryby pośpieszył go ratować.

Opowiadał Reinachowi szczegół, o którym wspomina i w liście do siostry, jak chciał daremnie oddziaływać na moralną stronę handlarzy niewolników, wzruszać im serce, wydobyć z nich iskrę uczucia ludzkiego. Męczyło go w sposób okrutny ustawiczne spotkanie na szlakach pustyni kości, czaszek ludzkich, „pustych orbitow po tych, którzy już odpoczywali na zawsze“. Raz podnosząc z piasku zbiebiała czaszkę, rzekł do Araba, o którym wiedział dobrze, że się trudni kupceństwem ciała ludzkiego: — „Dusza, która mieszkała w tym domu kościanym, powie Allahowi, jak ty, Jusuf Beyu, i tobie podobni obchodziliście się z nią, gdy była istotą ludzką na ziemi — z nią i z jej braćmi...“ „Nie jam winien śmierci tego człowieka...“ — odpowiedział Arab wykrętnie, przecież zbladł silnie. Mimo to odbywał dalej swoje łowy, skoro tylko nadeszła chwila sposobna“.

Gordon rozstał się z Reinachem rano, wysiadając w Neapolu, ale spotkali się jeszcze, i Gordon zaprowadził nazajutrz Reinacha na śniadanie do ex-kedywa. Mimo niesprawiedliwości, jakiej raz dopuścił się na nim Izmael, Gordon był do niego przywiązany, jak do przyjaciela, a raczej jak do współnika jednych planów i zamiarów. Tak, jak sam Izmael, sądził on, że popełniano względem niego zły, niewdzięczny czyn, zrzucając go z tronu, że był to człowiek dobrej woli, tylko miał złych doradców, którzy korzystali z jego miękkości. Izmael w podobny sposób mówił z Reinachem; z wielką godnością, ale smutnie przyznawał się sam do błędów popełnionych, kładąc przecież nacisk na to, że złego nie chciał, że kochał ojczyznę swoją. Powtarzał to kilkakrotnie, nie zdając się tego rozumieć, że nie kocha ten, kto jest leniwy, nie kocha kto jest słaby, ale istnieje wszędzie mnóstwo podobnych Izmaelowi baszy patriotów, dowodzących w podobny sposób swojej miłości kraju, i mnóstwo też

staje się tak, jak on, zdetronizowanych ze swego stanowiska służenia sprawie ojczyzny.

U Gordona miłość nie była nigdy taką letnią wodą uczucia, nie mieszkała w takim miękkim puchu niedołęztwa duchowego. Trzeba czytać w całości jego listy do siostry, aby wiedzieć jakim było jego życie w Sudanie: co znosił, co przecierpiał nietylko pod względem niepojętych trudów i prac syzyfowych. A przecież jego tam powrót w trzy lata później, nie był dziełem ani ambicyi, ani przypadku; rozstając się w Neapolu z Reinachem, powiedział mu wzruszony: „Nie będę miał nigdy spokoju, póki coś nie będzie uczynionem dla mojej owczarni w Sudanie (I would not stay quiet, unless something was done for my flecks of Sudan).

I wrócił też tam, jak tylko go wezwano, jak tylko polityka angielska otworzyła mu jego „Beled es Sudan“, z kąd wycisnęła go intryga chiwej kliki egipskiej. Lekarze nakazali mu spoczynek, zapowiadając, że zaczęło się objawiać wyczerpanie nerwowe i zubożenie krwi, i on też, któremu to odkrył jeszcze w Alexandrii lekarz konsulatu angielskiego, przysięga sobie, że już teraz będzie używał spokoju, będzie leżał w łóżku do południa, spacerował z laseczką w rękę, nigdy nie będzie jeździł koleją żelazną i w dodatku nie będzie bywał na żadnym obiedzie proszonym, a za to codzień będzie na śniadanie jadł ostrygi. Ale jeżeli mógł mieć podostatkiem ostryg — pisze historyk jego Forbes — nie mógł jednak mieć pokoju, bo nie była to natura przeznaczona do takiego używania życia. Osmnaście miesięcy odpoczywał ten człowiek śmiertelnie znudzony, gdy d. 18 Stycznia zeszłego roku depesza angielskiego ministra wojny, lorda Hartington, wezwała go z Brukseli do Londynu, przybywał on z Indyi, z Zanzibaru, z Ziemi Świętej, i w ciągu jednego dnia zdecydował się na powrót do Sudanu.

I tego samego dnia wyjechał. W krótkim antrakcie, mającym miejsce między słowem, które się rzekło, a wykonaniem go, powiedział przyjaciółom, że jedzie, aby „uciąć ogon psu“ i po naradzie odbytej o południu w biurze ministra wojny wsiadł na kolej o ósmej wieczorem. Jechał pociągiem kuryerskim. Lord Northbrook pierwszy lord admiralicyi, niósł za nim walizkę podróżną, lord Granville minister spraw zagranicznych kupował mu bilet, księżę Cambridge, stryj królowej i naczelnik wszystkich sił zbrojnych, otwierał mu drzwiczki wagonu.

Anglia uznawała, że dawna jej polityka w Afryce była złą, że niepodobna poręczać Egiptowi utrzymania Sudanu, i Gordon, teraz już generał-major, dostawał wolność innego niż poprzednio zapanowania nad krajami, którei rządził niegdys z ramienia Egiptu, a które oddawano teraz w jego ręce, aby je uczynił wolnemi, niepodległemi i szczęśliwemi, w sposób, jaki uzna za najlepszy. Był to więc jego dawny sen spełniony, rzeczywistość jego marzeń, podająca mu się do ręki, tylko że, „bezgraniczna kraina czarnych“, nie była już taką, jaką porzucał ją odjeżdżający. Cierpliwość ludów nieszczęśliwych bywa głęboką jak studnia, ale wyczerpuje się i ona; wyczerpała się tak w Sudanie, który nagle znalazł sobie bohatera i reprezentanta swojego, proroka — *Madhi* czyli *Wzniołego*. Zanim jeszcze wybuchnęło w Egiptcie powstanie Arabiego, Sudan wzburzył się w Maju 1881 r., zawrzał jak katarakty Nilowe pod tchnieniem wichru pustyniowego i podniósł się przeciwko tureckim baszom, przeciw czerkieskim beyom, których nasyłał mu Egipt, aby go gnieść podatkami, wyciskać przez nie gorący pot jego synów i otwierać wskrós pustyni drogi, którei ciągnęły bandy rozbójnicze łowców ludzi. Panowie jego nie umieli go bronić: urzędnik był sam łupieżcą i rozbójnikiem, za pieniądze sprzedawał innym wolność łupienia i rozbijania, porywania ludzi tysiącami. Rozpacz ludów sudańskich urodziła Mahdiego, która na samotnej wyspie Białego Nilu, Abba, mieszkał w jaskini podziemnej wykopanej własnymi rękami, naksztakt studni gdzie poszcząc, paląc dniem i nocą kadzidło Bogu, przyzywał Go, wywoływał godzinami całemi Jego imię, aż opadał omdlały ze znudzenia. Tłumy ludu zaczęły napływać do niego, a on nie widząc nic, nie słysząc nic, trwał na modlitwie, lub pogrążał się w rozmyślanii doskona-

łości boskich. Jeżeli odpowiadał, to słowami wyjętymi z Koranu. Gardził pieniędzmi; niemniej znoszono mu ofiary i święty zebrał bogactwa, otoczyli go uczniowie i stał się nagle z niego Mahdi, posłannik Boży do ludów ucisnionych. Czy hasło wyszło z kądinąd, od Mohameda es Sinussi, fanatyka, stojącego na czele tajemnej organizacji sekt mużulmańskich, wypędzonego przez Francuzów z Algieru, i chroniącego się w Trypolitanii, i ziarno padło tylko na grunt przygotowany; czy też był to naturalny wynik położenia, zwolna dojrzewający owoc rozpacz i pożądanie ratunku, zmiany, za jakąbądź cenę — zawsze Sudan, z wodzem tym na czele, wstrząsnął się, aby zrzucić z siebie jarzmo egipskie.

W chwili wybuchu Mahdi, którego nazwisko jest Mohamed-Ahmed, człowiek czterdziestoletni, wysoki, niesłychanej chudości, posiadający ogromne skarby, mąż kilkunastu żon, wybranych z pomiędzy najznakomitszych rodzin kraju, przedstawiał potęgę rzeczywistą i wszystkie warunki działania w zakresie szerokim. Arabi ze swego ceylońskiego więzienia dawał znać głośno, że to nie fanatyzm religijny wzrusza te ludy, jako mahometkańskie, ale nie chcą one, nie mogą już znieść dłużej okrutnego jarzma, które je gniecie i tłum mordowany dotąd, ruszył się, aby też mordować i wyprzeć obcych, wypchnąć ich po za pustynie nubijskie. Fanatyzm tylko rozbudził im się w pierśiach, jako jedna siła więcej, jeden więcej płomień zapału, którym rozgorzały. Mahdi, syn tej co oni ziemi, bo rodem z wyspy nilowej Naft, odziany w długą bawełnianą koszulę, cery koloru mahoniowego, z oczyma czarnemi jak węgle, z długą brodą czarną, w wązkim białym turbanie, w sandałach drewnianych, przesuwający nieustannie w kościstych, chudych palcach różnecodzie-więćdziesięciu paciorkach, których liczba odpowiada liczbie przymiotów Boga — to wódz, jakiego im było potrzeba. Kiedy występując jako posłannik Boży, rozesał do derwiszów i ulemów, religijnych naczelników Islamu, obwieszczenie, iż mu została daną moc obalenia i wykorzystania wszystkich złości ludzkich, ogłosił zarazem panowanie dobra, pod postacią równości stanów i wspólności majątków, dodając, że ci, którzy nie uwierzą weń i nie przyjmą jego nauki, zostaną wytraceni.

(Dokończenie nastąpi).

## Z MEDYCYNY 'POPULARNEJ.

### O GIMNASTYCE

#### Massage (Ugniatanie).

W artykule „O Gimnastyce“ (*Bluszcz* N. 41 r. z.), podaliśmy ogólne zasady gimnastyki higienicznej i zarazem przyrzekliśmy łaskawym naszym czytelnikom, w jednej z pogadanek poświęcić kilka słów gimnastyce szwedzkiej i massażowi, które w ostatnich czasach stały się tak potężnym czynnikiem w leczeniu rozlicznych chorób.

Gimnastyka higieniczna ma za zadanie: rozwinięcie sił w organizmie, utrzymanie zdrowia, nadanie właściwych ruchów i kształtów, gimnastyka zaś lecznicza czyli szwedzka, i masaż, zapobiegają rozwinięciu się chorób, a umiejętnie prowadzone, bardzo często są w stanie wyleczyć z choroby, która wszystkim innym środkom opór stawiała. Ćwiczenia dzielą się tu na czynne (aktywne) i bierne (passywne) t. j. na takie, które sama osoba chora wykonywa, i takie, które lekarz wykonywa na chorej osobie.

Ćwiczenia czynne stanowią wielką gałąź znaną pod nazwiskiem gimnastyki szwedzkiej, która na bardzo rozległe zastosowanie w wychowaniu i leczeniu, zajmują się nią specjaliści i ogół z nią i jej skutecznością w skrzywieniach kości, chorobach płuc, przewodu pokarmowego i t. p., mniej lub więcej jest obznajomionym. Pragniemy dziś

kilka słów poświęcić tak zwanemu masażowi— (ugniatanie, mięsienie), czyli ćwiczeniom biernym, — który w ostatnich czasach za granicą bardzo obszerne znalazł zastosowanie w medycynie.

Masaż znanym był w starożytności i u dzikich, naturalnie, nie w takiej formie, jak go dziś stosują; nie ulega jednakże wątpliwości, że za jego pomocą usuwano niektóre cierpienia. Francuzkim lekarzom należy się zasługa wskrzeszenia masażu i wprowadzenia go do nowoczesnej medycyny. Przedtem zajmowali się nim znachorzy. Jeden z nich Pich, Czech, cieszył się rozgłosną sławą w uzdrawianiu chorych zapomocą ugniatania. Pewna dama ze świata arystokratycznego w Wiedniu, która była dotkniętą chronicznym cierpieniem stawu kolanowego, została przez Picha uleczoną przez samo wcieranie pewnej maści. Gdy po sowitem wynagrodzeniu go zażądała, aby udzielił tej maści na przyszłość, w razie odnowienia się cierpienia, odpowiedział, że sama maść jest bezskuteczną, lecz sposób wcierania ma głównie znaczenie. Pokazuje się, że Pich leczył masażem.

Cesarzowa Augusta, która skutkiem złamania szyjki kości udowej ciąglem podlegała cierpieniom, doznała wielkiej ulgi od masażu, jaki jej aplikowała pewna kobieta nazwiskiem Hiersemann. Od dwóch lat Hiersemannowa znajduje się ciągle przy boku sędziwej monarchini i cieszy się na dworze wielkimi względami.

W Warszawie znany parę osób, które skutkiem masażu doznały poprawienia stanu zdrowia, a nawet zupełnego wyleczenia z bardzo ciężkich niemocy.

Otóż, jak już powiedzieliśmy, masażem nazywamy pewne czynności wykonywane przez lekarza na osobie chorej, która w zupełnym pozostaje spoczynku.

Jakie jest działanie masażu?

Przez ugniatanie ciała można mięśnie pobudzić do kurczenia się, w nerwach wywołać melekularną przemianę ich cząsteczek, w naczyniach krwionośnych i limfatycznych spowodować szybsze krążenie krwi i limfy, a prócz tego zmusić produkta zapalenia do szybszego wessania się.

Postaramy się w sposób przystępny wyjaśnić: w jaki to mianowicie sposób odbywa się.

Przy bezwładzie (paraliżu) np. kończyny, który najczęściej spowodowany jest chorobą nerwów, mięśnie skutkiem bezczynności poczynają zanikać t. j. stopniowo zmniejszać swą objętość. Fakt to jest wszystkim dobrze znany, że jeżeli ktoś nosi przez dłuższy czas rękę na temblaku, skutkiem złamania, to ta ręka staje się znacznie cieńszą, aniżeli ręka zdrowa, która wykonywa swe czynności. Wprawdzie tak w pierwszym razie, gdy nerw wróci do normalnego stanu, jak i w drugim, gdy kość się zrośnie i funkcje rozpoczną się na nowo, mięśnie stopniowo odzyskują swą objętość i siłę, lecz przez ugniatanie można znacznie czas rekonwalescencji skrócić. Dodać jeszcze winniśmy, że po paraliżach niezawsze wraca pierwotny stan skurczliwości mięśni, i że go dopiero ugniataniem spowodować można.

Przy cierpieniach nerwów, bądź-to czuciowych, bądź ruchowych, one podlegają zmianom, których okiem ani gołym, ani uzbrojonym w mikroskop rozpoznać nie można; cierpienia te zależne są od molekularnych zmian cząsteczek, albo też od krążenia po nerwie strumieni elektrycznych, które zapomocą masażu do normalnego przyprowadzić można stanu. W jaki to się sposób odbywa? — nauka jeszcze tej zawilej i ze wszech miar ciekawej kwestyi nie wyjaśniła, lecz, że tak jest w samej rzeczy, o tem kto widział, jak Donato jednym pociągnięciem ręki wywoływał w ramieniu panny

Lucylli skurcz tępcowy, albo przekłuwał je nawet igłą, nie sprawiając bólu, nikt chyba nie wątpi.

Naczynia krwionośne i limfatyczne, których zadaniem jest przywóz materiału odżywczego do pojedynczych organów i odprowadzenie zużytego, podlegają tak zwanej atonii t. j. ścianki ich nie kurczą się dosyć energicznie, aby swą czynność dokładnie wykonać mogły: krążenie krwi i limfy odbywa się w nich leniwo, na czem odżywianie, naturalnie, ucierpieć musi. Otóż za pomocą masażu doskonale można tę niedokładność usunąć, można naczynia pobudzić, nadać im sztuczny impuls do energiczniejszego działania i tamsamem nieraz bardzo poważne cierpienie zażegnać.

Przy zapaleniach chronicznych, szczególnie stawów i ścięgien, powstają tak zwane wysięki, t. j. część płynu z naczyń krwionośnych przesącza się w zwiotczałe skutkiem zapalenia tkanki i tamże pozostaje. Bywa przy tem tak, iż wysięk ten otacza się sztuczną błoną, dosyć grubą, i wtedy wessanie staje się niemożliwym. Masażem można w obydwu razach spowodować kompletną resorbcję tych wysięków, które stały się powodem np. nieruchomości w stawach lub stanowiły oszpecenia na palcach lub grzbiecie dłoni.

Jak z powyższych tylko przykładów widzimy zastosowanie masażu jest bardzo obszernem, i to w rozlicznych cierpieniach.

Zaraz na wstępie nadmienić winniśmy, że skuteczności jego zależy od umiejętności prowadzenia kuracji, że pomimo skromnej nazwy i napozor łatwego wykonania, zajmować się nim może wyłącznie obeznany dokładnie z anatomią, fizjologią i patologią t. j. lekarz, albo też osoba druga, która wykonywa go pod nadzorem i ślepem posłuszeństwem lekarza, inaczej zamiast korzyści szkodę wyrządzić można. Ugniatanie, przy jakiej takiej zręczności w palcach i dłoniach, nie trudno: każdy się może tego z łatwością nauczyć, lecz wykonywać ugniatanie tak, aby ono właściwy efekt wywołać mogło, może tylko ten, powtarzamy raz jeszcze, kto dokładnie obznajomiony jest z normalną budową ciała ludzkiego, jego funkcjami i zmianami patologicznymi t. j. lekarz. Bo to wcale nie wszystko jedno: czy się ugniatanie będzie z góry na dół, czy z dołu do góry, czy trochę wyżej miejsca chorego, czy trochę niżej, czy silnie czy słabo, czy pięć, czy piętnaście minut, czy chory jest zadowolony z masażu lub też niechętnie go przyjmuje?

Zazwyczaj chorzy na pierwszych posiedzeniach z trudnością znoszą masaż, szczególnie w miejscach obolałych; wkrótce jednakże, bo już po kilku razach, przekonawszy się o jego skuteczności, poddają mu się z całym przekonaniem, a bardzo wielu nawet doznaje w czasie manipulacji przyjemnego wrażenia.

Ugniatanie nie wymaga żadnych instrumentów: czynnikami tu są ręka lekarza i właściwa pozycja chorego. Probowano stosować rozmaite przyrządy, któreby oszczędziły siły i czas, lecz żaden z nich nie dorównywał naturalnej sile i zręczności, jaką posiada ręka wprawnego lekarza.

W niektórych razach wypada część ciała, którą poddajemy ugniataniu, zwilżyć ślizkim płynem, jak oliwą lub vasselina, skutecznieć jednakże to się powinno jedynie wtedy, gdy ugniatanie odbywa się na większych przestrzeniach, lub gdy skóra jest włosem pokryta; wtedy ręka z łatwością się przeslizguje i nie sprawia choremu bólu, mogącego powstać z wyrwania włosów. Przeciwnie zaś, jeżeli masaż wykonywa się w jednym ograniczonym miejscu, lepiej gdy skóra pozostanie suchą. Co się tyczy odzienia, to bez kwestyi w większości wypadków, korzystniej jest gdy się ugniatanie wykonywa na gołym ciele,

można jednakże, w niektórych razach, skutecznieć pewne rękoćzyny przez ubranie flanelowe.

Nazwalimy masaż ugniataniem, ponieważ jest to jedna z najczęstszych manipulacji, jaką się stosuje: nie jest ona jednakże jedyną, uciekać się bowiem potrzeba do nacierania, szczypania, uderzania i t. p.

Niepodobna na tem miejscu przytoczyć wszystkich chorób, w jakich masaż znajduje zastosowanie i, w jaki sposób w każdej z nich się wykonywa; obawialibyśmy się nadużyć cierpliwości naszych, i tak pobłażliwych, czytelniczek, ograniczmy się więc na wymienieniu najważniejszych.

We wszystkich prawie cierpieniach nerwowych, zależnych bądź-to od centrów, to jest od mózgu i rdzenia kręgowego, bądź-to od nerwów peryferycznych, które rozgałęziają się we wszystkich tkankach naszego organizmu, masażem osiągnąć można bardzo świetne rezultaty. W nerwobólach (nevralgia) wszelkiego rodzaju, w migrenie połączonej z wymiotami, w ogólnym osłabieniu nerwowym (neurasthenia), w paraliżach i t. p., można, jeżeli nie zupełne wyleczenie, to przynajmniej znaczną ulgę spowodować.

W żadnej chorobie rezultaty masażu nie są tak doraźnymi, jak w reumatyzmie; działanie jego jest tu prawie dotykalmem, i w jednym posiedzeniu udaje się nieraz za pomocą ugniatania, uderzania, rozciągania dotkniętych mięśni albo stawów wyleczyć z silnego *torticolis* lub bólu w stawie, na które przy rozlicznych innych środkach, kilka dni zmuszonym-by był chory pozostawać w łóżku, i brać wstrętne lekarstwa do wewnątrz i rozmaite smarowania i owijania. W reumatyzmie mięśniowym, który powstaje skutkiem zaziębienia, następuje skrzepnięcie pewnego płynu znajdującego się w mięśniach; otóż przez umiejętne manipulacje można płyn ten przyprowadzić narazie do normalnego stanu i w ten sposób cierpienie usunąć.

Przy wysiękach w stawach, na ścięgniach, masaż oddaje wielkie usługi, w stosunkowo bardzo krótkim czasie, nie sprawiając choremu wielkich bólów, jaki przyczyniają wezykatorye, rozpalone żelazo i t. p.

W cierpieniach przewodu pokarmowego, przy leniwem trawieniu, niedostatecznem wydzielaniu soków niezbędnych do trawienia, w chorobach w których żołądek żadnego lekarstwa znieść nie może, jedynie ugniataniem można chorem ulgę przynieść.

Nie ulega wątpliwości, że masaż zajmie w medycynie bardzo ważne znaczenie, że uciekać się do niego będą lekarze i chorzy, jak do hydropaty, elektryczności, kąpeli mineralnych — i na pewno twierdzić można, że jeżeli ich nie przewyższy, to co najmniej im dorówna.

Leczenie masażem trwa od jednego posiedzenia do sześciu tygodni; rzadko przedłużać je potrzeba do trzech miesięcy.

Dr. Józef Starkman.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tyt.: **Stawka na loteryi życia**, przez autorkę *Panny Mani*; oraz arkusz 1-y powieści pod tytułem: **Sieroca dola**, przez autorkę powieści *Silny duch*.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Z dziedziny Sztuk Pięknych, (dokończenie), przez r. — Korespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Generał Gordon, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Z medycyny popularnej, „O gimnastyce“, przez Dra Józefa Starkmana.

**Dodatek** obejmuje: Dokończenie powieści pod tytułem: **Stawka na loteryi życia**, przez autorkę „Panny Mani“; oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Sieroca dola**, przez autorkę „Silny duch“. — 30 wzorów ubiorów i róbót wraz z opisem — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою,  
Варшава, 13 Марта 1885 года.



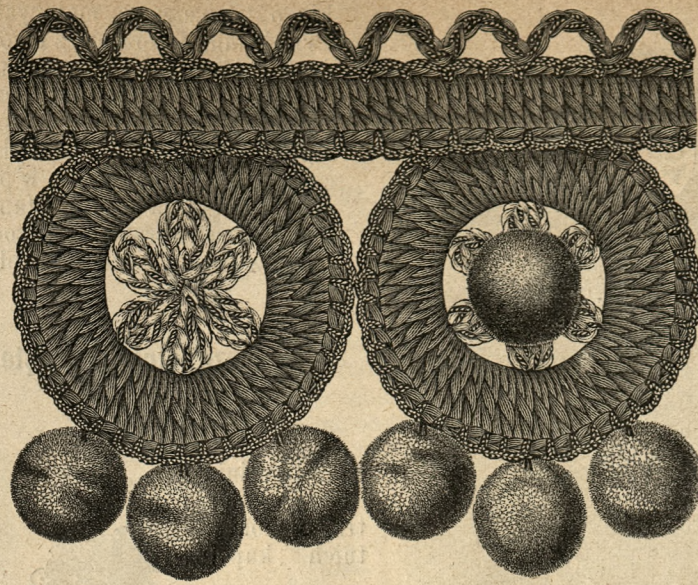
**Pulpit do gazet.**

Rycina Nr 23 i 35 w Blu Nr 11

Podstawa do gazet 43 cent. wysoka, a 37 cent. szeroka, wyplatana ze złożonej słomki i trzciny, a przybrana oliwkowym pluszem, kwiatami szydełkowej roboty i bombelkami



Nr 2 i 3. Okrycie z wełnianego materiału w deseń. Przód i Plecy. Opis pierw. str tabl.



Nr 1. Szlak do r. 14 w B. Nr 13. Połowa wielkości na



Nr 6 do 8. Fasony kapeluszy letnich.

**Koszyczek do roboty.**

Rycina Nr 1, oraz ryc. 14 w Blu. Nr 13.

Koszyczek trzciny, przybrany szlakiem robionym szydełkiem z krętej przędzy i włóczki brązowej w dwóch cieniach, oraz włóczkowymi bombelkami, na rogach przy-



Nr 4 i 5. Suknia z wełnianego materiału gładkiego i w paski. Plecy i Przód.

z włóczki koloru oliwkowego i miedzianego. Na każdą część pluszowych festonów, potrzebny jest 15 cent. szeroki kawałek pluszu, dolny brzeg którego osyty jest szydełkowym szlaczkiem, robionym sposobem następującym: Kolej 1 z oliwkowej włóczki i krętej przędzy: 1 rząd pikotów (5 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w pierwsze z nich). Kolej 2 tylko z włóczki: 1 ścis. ocz. w pikot, 5 pow. o. i t. d. Kwiatek ryciny 35 robi się następującym sposobem z podwójnej włóczki: \* 8 pow. ocz., 1 ścis. ocz. łańc. w pierwsze z 8, 1 ścis. ocz., 1 pół-słup., 14 słup., 1 pół-słup., 1 ścis. ocz., 8 pow. o., od \* 4 razy powtarzać. jednakże przy 1 i 3 powtórzeniu zrobić więcej o 2 pow. ocz. i 2 słupki, a przy 2 powtórzeniu 4 oczka pow. i 8 słup. Po zrobieniu tych 5 listków i zamocowaniu, robi się na korzonek, nie urywając nitki, rząd pow. ocz. odpowiedniej długości, a powracając po jednym o. ścis. w każde oczko. Następnie listki kwiatka i korzonek otaczają się 1 koleją z krętej przędzy, 1 ścis. ocz. i 1 pow. ocz. Liście robią się w taki sposób, jak listki kwiatka; żyłki ze szneli koloru oliwkowego w dwóch cieniach; taka gałązka kwiatów przyszywa się w miejscu, gdzie jest plusz ufałdowany.

**Chusteczki do nosa.**

Rycina Nr 33 i 34 w Bl. Nr 11.

Chusteczka ryciny 33. ma 29 cent. duży środek z białego fularu, osyty jest gładko 6 cent. szeroką koronką, ufałdowaną na rogach, o ile to jest potrzebnym, żeby się nie opinało.

Chusteczka przedstawiona na ryc. 34, ma 44 cent. w kwadrat, a zrobiona jest z prawdziwego batystu i przybrana szlakiem wykonanym aplikacją z tiulu.

**Kołdra szydełkową robotą.**

Rycina Nr 38 w Bl. Nr 11.

Rycina przedstawia kołdrę składającą się z szerokich pasów, robionych z ciemno-pasowej wełny i wąskich z oliwkowej. a otoczona zębami. Szeroki pas, którego część przedstawia rycina 27 w Bl. Nr 10, robi się na założeniu z 24 ocz., tam i napowrót. Kolej 1: 1 pierwsze ocz. opuścić, potem 23 ocz. ścis. Kolej 2 i 3: 1 pow. ocz., 23 ścis. ocz. Kolej 4 (prawa strona roboty) 1 pow. ocz., 1 ocz. ścis., \* 1 ocz. w oczko znajdujące się wprost pod nim, o 2 rzędy niżej, opuścić 1 ocz.

poprzedniej kolei, 3 ścisłe ocz., od \* powtórzyć 5 razy, jednakże na końcu zamiast 3 ścis. ocz., robi się tylko 1 ścis. ocz. Dalej powtarza się tylko 3 i 4 kolej. Wąskie pasy (ryc. 26 w Blu. Nr 10) robią się na założeniu 16 ocz. tam i napowrót 3 koleje, tak jak 3 koleje szerokiego pasa. Kolej 4 (prawa strona roboty): 1 pow. ocz., 3 ścis. ocz. \* 1 podw. sł. w ocz. znajdujące się pod środkowym z tych 3 ścis. ocz., tylko o 2 rzędy niżej, 1 podw. słup. w 4 ocz. tego samego rzędu następnego ocz. poprzedniej kolei opuścić, 3 ścis. ocz., od \* jeszcze 2 razy powtórzyć. Kolej 5: 1 pow. o., 15 ścis. ocz., potem powtarza ciągle 4 i 5 kolej. a na podłużnym brzegu pasa zrobić 1 kolej ścis. ocz. i połączyć wązki z szerokim pasem sposobem następującym: 1 ścis. ocz. w najbliższe oczko pasa, 1 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w najbliższe ocz. drugiego pasa, 1 pow. ocz. i t. d. Kiedy już wszystkie pasy są połączone, robią się w koło kołdry żeby jednocześnie pasową i oliwkową bawełną. Pasową bawełną 1 ścis. ocz. w brzeżne ocz., obejmując zarazem oliwkową bawełną. \* 3 słup. w 3 ocz. kołdry, słupki ściągają się w jedno oczko, zabierając przytem oliwkową bawełną. 3 słup. z oliwkowej włóczki ściągnięte w jedno oczko, zabierając przytem pasową bawełną, 3 słup. z pasowej bawełny ściągnięte w 1 ocz., zabierając oliwkową bawełną, 2 ocz. brzeżne opuścić, od \* powtórzyć. Na rogach zamiast 3 słup., robi się 5 słup.

**Przykrycie na krzesła, sofę i t. d., ścięciem gałązkowym.**

Rycina Nr 39 i 40 w Bl. Nr 11. Wzór pierw. str. tabl. Nr 14, fig. 27 i 28.

Przykrycie to, mające 71 cent. długości, zrobione jest z kanwowego materiału, kremowego koloru, przybrane z obu stron poprzecznych frendzlą i szlakiem, z jednej strony szerokim, a z drugiej wąskim. Po przeniesieniu na materiał deseni fig. 27 i 28, haftuje się kontury jego ścięciem gałązkowym, różnobarwną filozelą, a mianowicie: ptaszek koloru palonej cegły, kwiaty takimż i błękitnym, liście brunatnym; wszystkie kolory w wielu odcieniach. Żyłki i zewnętrzne ozdoby szlaku robią się brązowym jedwabiem, muszki ciemno-błękitnym. Po wykonaniu haftu, tło szlaku ceruje się, jak to widać na rycinie 40, brązowym jedwakiem w dwóch odcieniach.

wieszonemi na sznurku szydełkowej roboty. Środek wieczka ozdobiony jest haftem, wykonanym aplikacją na oliwkowym pluszu, rogi ufałdowanym atłasem ciemno-pasowego koloru; a brzeg wąską pluszową plisną i szydełkowym szlakiem. Wewnątrz wieczka jest podwatowane i pokryte ciemno-pasowym atłasem gładko, boki ufałdowane, a dno kartonem powleczonym gładko atłasem. Środkowe przybranie wieczka robi się w następujący sposób: wycina się z safianu stosownej wielkości gałązkę kwiatów, zahaftowuje się ją różnobarwnym jedwabiem, ścięciem pocztowym, nakleja się na plusz i otacza kontury deseniowe sznurczkiem z jedwabiu i złota. Na każdą rozetę szlaku, którego część podaje ryc. 1, trzeba zrobić z potrójnie wziętej ciemniejszej włóczki kółeczko z 22 pow. oczek, a potem robić kolej 1 z pojedynczej włóczki: 3 pow. ocz., 11 słup., 20 podw. słup., 12 słup. i 1 ścis. ocz. w trzecie pow. ocz. Kolej 2 z krętej przędzy: 1 ścis. ocz. w każde ocz. poprzedniej kolei. Gwiazdki wypełniające środki rozetek, robią się z jednej nitki jasnej włóczki i jednej nitki krętej przędzy: 6 razy naprzemian: 7 pow. ocz., zaczepiając 4 ocz. o rozetkę tylko po lewej stronie, 1 ścis. ocz. w 1 z 7 pow. (a przy powtórzeniu w ocz. ścis.). w końcu 1 ścis. ocz. w ostatnie ocz. ścis. Po zrobieniu potrzebnej liczby rozetek, połączyć je, przyszywając jedną do drugiej i do wąskiego szlaczka, zrobionego następnym sposobem: na odpowiednio długim założeniu kolej 1: po 1 słup. w każde ocz. założenia. Kolej 2 z krętej przędzy: 1 ścis. ocz., 1 pow. ocz., 1 ocz. opuścić i t. d. Z drugiej strony założenia robi się takąż samą kolej i oprócz tego luki pow. ocz. jak następuje: 1 ścis. ocz., 5 pow. ocz., 3 ocz. opuścić i t. d.; po zrobieniu przyszyć ten szlak na brzegu koszyka. Szlaczek otaczający brzeg pokrywki robi się jak następuje: Kolej 1: Odpowiedniej długości rząd pikotów (5 pow. ocz. i 1 o. ścis. w pierwsze z tychże). Kolej 2: 1 ścis. ocz. w pikot, 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. i t. d., następnie jeszcze jedną kolej pikotów z drugiej strony roboty, z ciemniejszej włóczki i krętej przędzy. Mały pałączek koszyczka owija się także włóczką i ozdabia bombelkami.

**Suknia z gładkiego wełnianego materiału i wełny w paski.**

Rycina Nr 4 i 5.

Spódnica oszyta u dołu wąską falbanką, a pokryta wolantem ułożonym w kontrafałdy z gład-



Nr 18. Sukienka dla pańienki od 13 do 15 lat. Plecy. (Do ryc. 21 w Blu Nr 13). Krój i opis pier. str. t. Nr III, fig. 20—29. Nr 19. Sukienka dla pańienki od 10 do 12 lat. Przęd. (Do ryc. 22 w Bl. Nr 13). Krój i opis odw. str. tab. Nr V, fig. 38—40.

kiego brązowego materyału. Przęd. tiunki złożony z dwóch części: niższej spiczasto ułożonej w fałdy skierowane ku górze, i drugiej zaokrąglonej u dołu z gładkiego materyału. Tylna część tiunki z materyału w pasy, przypięta na stanik. Stanik gładki z ranwersami z przodu i kamizelczką z szerokiej pletni.

**Kapelusze letnie nieupięte.**

Rycina Nr 6 do 8.

Na rycinie są przedstawione trzy fasony letnich kapotek.



Nr 12. Bukiet od kapeluszy.



Nr 9. Sukienka dla dziewczynek od 3 do 4 lat. Nr 10. Sukienka dla dziewczynek od 5 do 7 lat. Krój i opis odw. str. tab. Nr VIII, fig. 56—58. Nr 11. Sukienka dla dziewczynek od 2 do 3 lat.



Nr 14. Rączka niklowa do parasolek. Nr 15. Rączka drewniana do parasolek.

Nr 16. Rączka drewniana do parasolek. Nr 17. Rączka z kości słoniowej do parasolek.

Nr 13. Bukiet do kapeluszy.

przysycie którego zakryte jest sznelą, przymocowaną poprzecznie ściegami jedwabiu.

**Karczek do koszuli minardisy i szydełkową robotą.**

Rycina Nr 27.

Karczek ten zrobiony jest z minardisy i bawełny Nr 60. Końce 106 centim. długiej minardisy zeszyć i robić kolej 1 sposobem następującym: \* 9 ścis. ocz. w pę-



Nr 20. Okrycie dla dziewczynki od 7 do 9 lat. Plecy. (Do ryc. 13 w Bl. Nr 10). Krój i opis pier. str. t. Nr II, fig. 12—19. Nr 21. Okrycie dla pańienki od 8 do 10 lat. Plecy. (Do ryc. 12 w B. Nr 13). Krój i opis odw. str. tabl. Nr IV, fig. 30—36.



Nr 24. Suknia z atlasu i koronki. Przęd. (Do r. 27 w B. Nr 13).

Rycina 6 przedstawia kapotkę bastową z dwukolorowej plecionki brązowego i modnego jasnego koloru. Rycina 7 z płaskiej plecionki rezedowego koloru, na której naszyte są słomkowe torsadki, pół i 2 cent. szerokie, owinięte złotym sznurkiem. Ryc. 8 przedstawia kapotkę z angielskiej słomki koloru „fraise“.

**Sukienka dla dziewczynek od 3 do 4 lat.**

Rycina Nr 9.

Sukienka zrobiona z granatowej wełny, zapina się w tyle; z przodu i z tyłu ma po jednej kontrafałdzie; rękawki krótkie, wykrój u góry wszyty w karczek. Do dolnego brzegu przyszyta krótka ufaldowana spódniczka; połączenie jej ze stanikiem przykryte pasekiem; bluzka i długie rękawki są z białego cienkiego batystu.

**Sukienka dla dziewczynki od 2 do 3 lat.**

Rycina Nr 11.

Sukienka z białego wełnianego materyału, przybrana haftem ścięciem krzyżowym, białym jedwabiem; z przodu i z tyłu ufaldowana, przedłużona podwójną ufaldowaną spódniczka, przyszyte której przykrywa pasek ozdobiony haftem; wycięcie sukienki oszyte jest haftowaną fałbanką. Wysoka bluzka i rękawki z batystu, dopełniają sukienki.

**Dwa bukiety do ozdoby kapeluszy.**

Rycina Nr 12 i 13.

Bukiety takie służą do przybrania kapeluszy o wysokiej głowce, przypinają się z przodu tak, aby stały wysoko do góry. Bukiet przedstawiony na rycinie 12, składa się z kwiatów głośnień, rezedy i różnobarwnych liści. Rycina 13 przedstawia bukiet z na w pół rozwiniętych róż różowych, zielonawo-cieniowanych, oraz z drobnych złotych kwiatków, z dodatkiem zielonych listków.

**Parasolki.**

Rycina Nr 22 i 23.

Rycina 22 przedstawia czarną atlasową parasolkę, z podszewką również z czarnego atlasu, na którym maszynowym haftem zrobione są kwiatki różnokolorowym jedwabiem. Do każdego kwiatka dwóch ostatnich rzędów przyczepione są pompony naprzemian: pasowe i kremowe. Kijek złoty trzcinowy i brązowa żebiona rączka, przybrana pękiem pnuki z pasowej atlasowej wstążki, dopełniają parasolki.

Parasolka ryciny 23, ziewkę z pasowej lustryny, wierzch także pasowy jest pokryty czarnym deseniowym tulle. Na to podłóż się zupełnie równy kawałek tiulu, z lekka przymocuj brzegów parasolki, a w środku mocno zmarszczony, parasolki czarny, na końcu rzeźbiony, przybrany kółeczkiem czarnej i pasowej wstążki.

**Suknia zbu i koronki.**

Rycina Nr 24.

Spódnica, z białego atlasu, pokryta draperią z koronki tegoż koloru. Stanik, z przodu i z tyłu zakończony bawetem, pokryty koronkowym materyałem, ułożonym aż do wcięcia w drobne zakładki, a poniżej formującym bufę. Stanik u wycięty spiczasto i przybrany ufaldowaną koronką na wierzchu zrobione w zakładki, zakończone i wszyte w mankiet z złotawego aksamitu; plisowana z takiegoż aksamitu, kokarda i rozetka z aksamitu dopełniają przybrania sukni.

**Okrycie z płótu „diagonal“.**

Rycina Nr 25.

Okrycie z brązowego diagonalu, przybrane naszyciem z wąskiej jedwabnej plecionki i szlakiem, w którym utkane są wysiepane końce jedwabniaki.

**Szlak do pokrowca aplikacji i pocztowym.**

Rycina Nr 26.

Na ten szlak potrzebny jest atlas, którego jeden brzeg wywinięty i podłóżony jest materyałem, w którym wycinają się z materyału zwanego „bobinet“ owalne figury i nalepiają się na atlas, jak również i plisowana brzeźna luki i haftuje się szlakiem pocztowym. W górze szlak przybrany paskiem oliwkowego koloru, na bokach natomiast szlak pokryty jest sznelą, jedwabiem i szlakiem oliwkowego koloru, rze oszywa się szlak plisowaną.

telki minardisy, potem na kwiatek trzy-listkowy 18 o. pow., z 10 ostatnich ocz. zrobić kółeczko, 3 razy naprzemian: 7 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w co trzecie oczko kółeczka, 1 ścis. łań. ocz. w ocz. ścis. zakończające kółeczko; 3 razy naprzemian ząbek: 1 ścis. ocz., 12 słup., 1 ścis. ocz., zaczepiając szósty słupek pierwszego listka o czwarte ocz. z 9 ocz. zrobionych na minardisie. W takiż sposób robi się kwiatek drugiego rzędu, zaczynając go pomiędzy drugim i trzecim listkiem. Po zrobieniu trzeciego listka robić korzonek: 8 ocz. ścis. w 8 pozostałe pow. ocz., od \* powtórzyc 70 razy, łącząc nowo zrobione listki z poprzednimi, jak to widać na rycinie. Na napierśnik z przodu robi się przy 17 do 21 powtórzeń za każdą razą po jednej więcej trzylistkowej figurze od 22 do 25, za każdą razą po jednej mniej. Kolej 2 z drugiej strony minardisy, ciągle naprzemian: 9 pow. ocz. w петельki minardisy i 1 o. pow. Kolej 3: 4 pow. o., potem ciągle naprzemian: 1 słu. w drugie o. poprzedniej kolei i 1 o. pow., 1 ści. o. w 3 z pierw. 4 p. o. Kolej 4: 2 pow. o., 1 sł., 8 o. pow., 1 sł., \* 3 pow. o., 1 potrójny sł., 3 pow. o., 1 słu. potrójny, jednak zamiast drugiego nawijania nitki na szydełko, zabiera się środkową петельkę poprzedniego słup., od \* powtarzać. Kolej 5: 3 ścis. ocz. w 3 o. poprzedniej kolei, \* 1 pow. ocz., 7 podw. słup. przedzielonych 1 pow. ocz., o najbliższe 5 ocz. pow., 1 pow. ocz., 1 ocz. ścis. w następnie 5 pow. ocz. poprzedniej kolei, od \* powtarzać. Kolej 6: \* 1 ścis. ocz. w najbliższe ocz. poprzedniej kolei, 7 razy naprzemian: 3 pow. o. i 1 ocz. ścis., od \* powtarzać. Rękawki robią się osobno tak jak karczek, przyszywają się do niego, jak to widać na rycinie. W dziurki 4 kolei karczka i rękawów, przeciągnąć jedwabną wstążeczkę i związać ją na kokardkę.

**Szlaczek ażurowy do prześcieradeł i t. p.**

Rycina Nr 28.

Szlaczek ten robi się na płótnie jedwabiem lub niem: 10 razy naprzemian wyciąga się 10 nitką płótna i zostawia 3 nitki, potem ostatecznie jeszcze 10 nitką wyciągnąć, następnie brzegi płótna oszyć jedwabiem, ścięciem używanym przy tej robocie, formując słupki z 6 nitką się składające; cały szlaczek podzielić na słu. ścięciem wijącym: robiąc od prawej strony, bierze się 5 wolnych nitką na igłę i wyciąga się takową, potem o 3 pozostawione nitki niżej, znów 6 następnych nitką na igłę, potem 6 wyższych i t. d. Figury deseniowe cerują się ścięciem point-de-reprise, tymże jedwabiem.

**Suknia z wełnianego materyału i welwetu.**

Rycina Nr 30.

Spódnica oszyta wąską welwetową fałbanką, oraz pokryta gładko z przodu i na bokach tymże materya-



Nr 25. Okrycie z diagonalu.

łem, suty tylny bryt upięty bufiasto przypięty do wetement. Wetement z granatowego wełnianego materiału, z ranwersami, welwetowym kołnierzykiem i napiersnikiem.

**Przepisy gospodarskie**

**Jajka na occie.**

Wszelkie szare sosy słodkawkowe-kwasne, są złą mieszanką do jajek. Najlepsze jajka są na śmietanie.

tak zwane „w koszulkach“. Osobno w mały ronderek włożyć pół łyżki masła, 2 łyżki kwaśnej śmietany, 3 łyżki owego octu z wodą, w którym się jajka gotowały i 1 żółtko, i na wolnym ogniu kręcić koziolkiem od ubijania czekolady, póki nie zgęstnieje, wtedy naftychmiast polać ułożone na salaterce, na gorącej blasze trzymane jajka. Dla amatorów można w czasie robienia sosu dosypać odro-

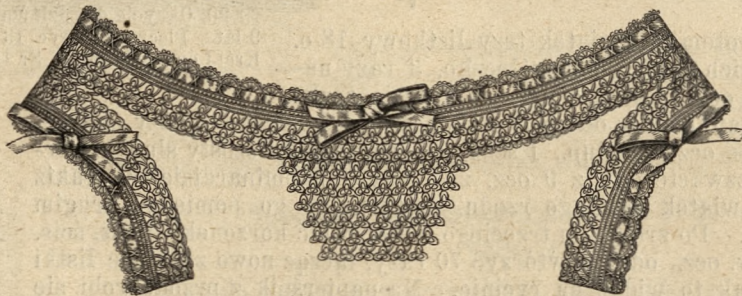


Nr 26. Szlak do pokrowców na meble i t. p. aplikacją i pocztowym ściegiem



Nr 29. Szlafroczek z wełnianego materiału. Prząd. (Do ryc. 5 w Bl. Nr 13. Krój i opis pier. str. tabl. Nr 1, fig. 1-11.)

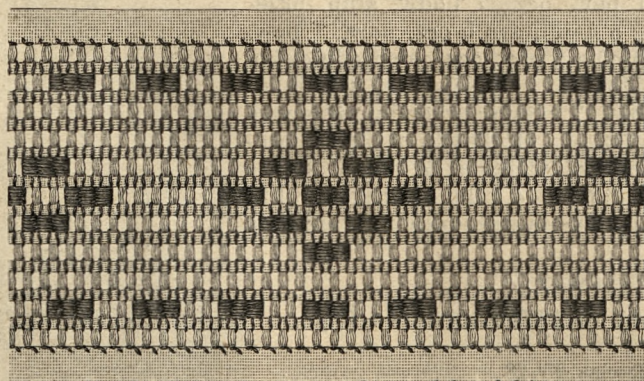
Wlać w płaski ronderek szklaną wodę i pół szklanki octu, posoliwszy płyn, ugotować na nim, puszczać uważnie, aby nie rozbić, blisko nad powierzchnią płynu 6 jajek na w pół miękko, czyli



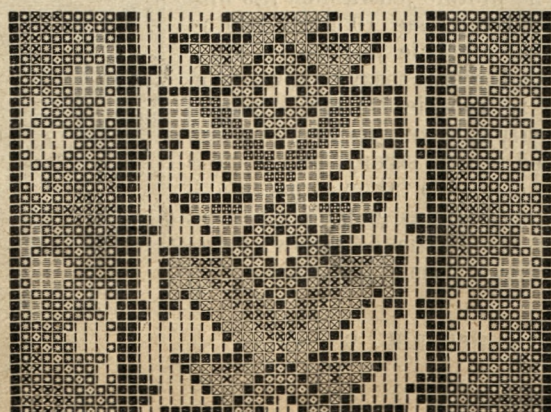
Nr 27. Karczek do koszuli szydeł. rob. (Do ryc. 16 w Bl. Nr 13).

**Obiad na Niedzielę.**

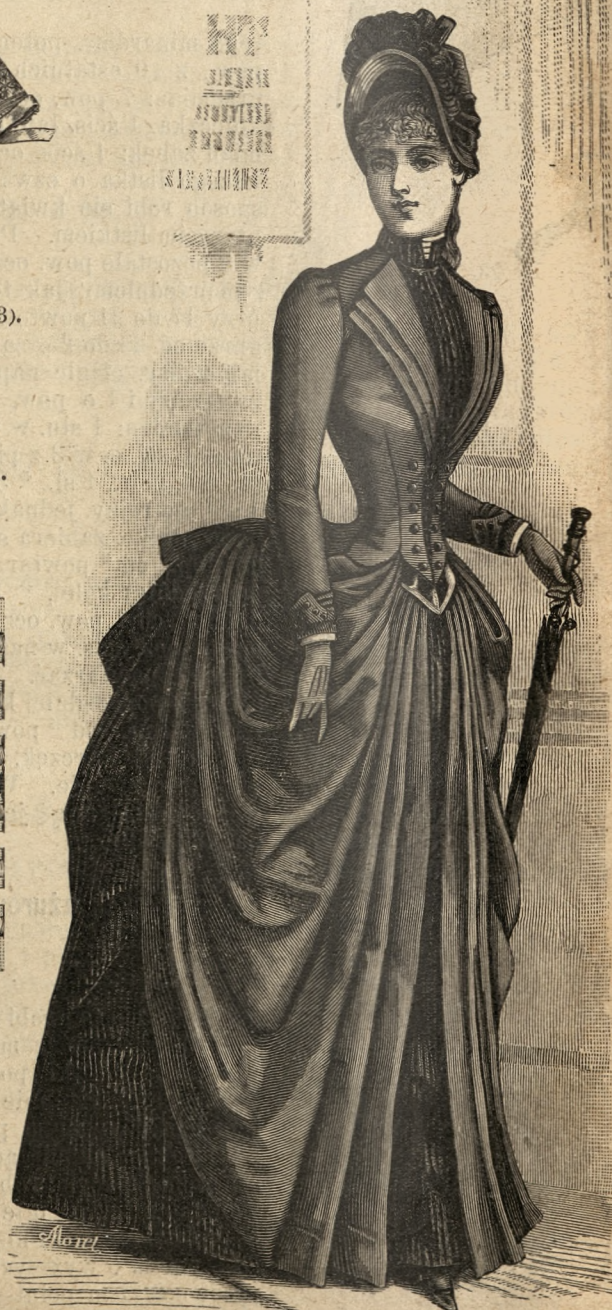
1. Sago na winie.
2. Befszyk z kartofelkami „à la maitre d'hotel“.
3. Pieczeń cielęca z biszamelem i parmezanem.
4. Omlet biszkoptowy z ponczowym sosem.



Nr 28. Szlaczek ażurowy do przescieradeł i t. p.



■ ciemno-bronz., □ jasno-bronzowy, \* ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, ■ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy, □ oliwkowy, □ szaro-żółty. Nr 26. Wzór szlaku do ryc. 9 w Bl. Nr 13.



Nr 30. Suknia z wełnianego materiału i welvetu (non-pareil). Prząd. (Do ryc. 4 w Bl. Nr 13).

binę cukru, aby złagodzić ostrość octu. Na stole kto lubi, dosypuje sobie pieprzu.

L. C.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów